

A mimo to, przy kapliczce wśród starych lip,  
pojawia się czasem żółte światło.  
I wtedy ci przechodzący,  
którzy mają skrzydła z czarnych piór,  
zaczynają się czuć nieswojo.

## Czternasta

To jest wtedy, gdy podajesz,  
jak własnoręcznie upieczone ciastko  
z jabłkowym lukrem  
– coś z tego, że trochę nieśmiało –  
podajesz swoje pragnienie przyjaźni,  
a oni, ona lub on odwracają się od Ciebie.  
I nagle znowu jesteś dzieckiem,  
które boi się być samo.  
Nie przestawaj oddychać ani na chwilę,  
bo wtedy właśnie możesz zobaczyć  
– tylko Ty –  
oczy swojego wewnętrznego cienia  
i zajrzeć w nie,  
a on – być może – dotknie Cię bezszelestnie  
i pokaże swoje ostre zęby.

## Szesnasta

Gdybym przeprosił tych wszystkich,  
którzy powinni mnie przeprosić,  
gdybym przeprosił,  
to może nie oczekiwałbym już przeprosin od  
nich,  
anulował te ich długi,  
odpuścił winy,  
(przecież „jako i my...“)  
uwolnił się od tych ludzi.  
Przeszłość odczepiła by ode mnie swój ciężar,  
plecak z kamiennymi żądaniami,  
kulę roszczeń na łańcuchu u nogi.  
Czerwony rękoskrzydły o mysiej twarzy  
byłby odleciał.  
Porzucając ten zniewalający bezmiar,  
byłbym słabiej przyciągany przez Ziemię,  
taki lekki jak babie lato,  
kwiaty uzdrawiającej szalwii,  
czy górski strumyk.  
Niewinny jak słodka akacja  
lub wysoko szybujący ptak.  
Może właśnie tak zostaje się  
praktykantem filozofii.

## Dwudziesta pierwsza

Tak bardzo  
chciałbym rzucić kamieniem.  
Tak celnie.  
Z całej siły.  
W to, czego nie otrzymałem.  
Tak mocno.  
Nadejście zmierzchu na chwilę usypia wiatr.  
Ten sen zagęszcza nabrzmiałe zapachy  
roślin i zwierząt.  
Tak parno.  
Włosy mam pełne błota.  
Próbowałem pokonać zbrocze mokrej  
tęsknoty,  
zdobyć szczyt napętnienia.  
Tak zachłannie.

Strząsnąć – tak czule – łyż z chłodnego źródła  
skurczu  
co skacze jak drapieżnik milcząco.  
Pieką krople czarnego deszczu.  
Tak ostro.  
Noże pustki już biegną.  
Tak szybko.  
Zatopią się.  
Tak głęboko.  
Niech dopadnie je ten kamień swoim  
ciężarem.

## Krzysztof Grzelak

### Sięgnij do wspomnień, pomocne niech będą slajdy

*Chwilo trwaj, jesteś piękna.*  
Faust

w międzyludzkich relacjach  
przeważały zimne pocałunki  
i ich nie mniej chłodne namiastki

język oficjalnych niedopowiedzeń  
przeniknął do języka  
rodziny niedomowień

wtedy w ofercie sklepów fotooptycznych  
pojawily się  
niedrogie rzutniki slajdów

czy pamiętacie niegdyś modne przezrocza?

piękne chwile slajdy mroziły  
nie mniej niż radziecka lodówka

były wystawione w obrazie chwilą  
wciśniętą w nieskończenie pojemny kadr

w tamtych nieprzyzwoitych latach  
gdy zaledwie z nieśmiałością  
dotykano reform

pojemne slajdy mieściły w sobie  
kiczowate wspomnienia z wakacji

podstarzałe ciotki wymalowane  
jak landszaft  
z jeleniem na rykowisku u boku

czaszkooprzeźrzeń fotoamatora  
rozrysowaną  
na niewidocznym rdzeniu ognia

po rodzinnych wspomnieniach  
dane nam były twarde landrynki  
do zgryzienia

nadchodziły lemury z łopatami

### Litania do Matki

moja matka rodząca się  
gdy rodziły kobiety socjalistyczne

dumnie trwająca kiedy tryumfować  
chcą bezpłodne mężyce

jedną ręką  
odpychająca bzdurę drugą ręką  
odpychająca absurd  
robiąca mi miejsce

kobieta piękna jak butik „Dolce & Gabana”  
stojący pośrodku popegeerowskiej wsi

matko nieskończony słowniku  
wyrazów znaczących

matko codziennie zdawana maturo

moja matko podmiocie ZUS-owskiego  
orzeczenia imiennego

małomówna w boleści  
wieloszeptająca w minorowym nastroju  
o nerwach napiętych jak struny  
enerdowskiego pianina

z odległej przeszłości  
fotografio bardziej czarna niż biała

być może  
wieczności światłem chwytająca mnie w  
miłość  
z przyszłości odległej na wyciągnięcie ręki

sucha bezmleczna bezłzysta  
obojętna niepozywna bezmiłosna

cierpiąca ból głowy  
przez tydzień z okładem

mój dym nikotynowy stanowi nie więcej  
niż tytuł naszych dni nerwowych chwil  
chmurkę z komiksu

matko siedząca nad domowymi rachunkami  
jak kokoszą nad pisklącą podściółką  
tytułowany techniku ekonomistko

matko posażna  
na obraz której i podobieństwo  
siedzę nad kartką pisząc wiersz

pośród wspólnych chudości nasz czas  
zaprzyjaźniony towarzysz choroby  
odrętwiająca mowa  
coraz to mniej mówiącej nam przestrzeni

wreszcie matka matek kostucha z kosą  
czy popularna anorektyczka z blond  
warkoczem

dotyka nas oboje

głodzi delikatnie  
każdego dnia po trochu

niczym okrutna kobieta  
zostawia mnie samego  
w byciu z nią

